

# Kolejna alternatywna historia Polski



ZIEMOWIT SZCZEREK

## *Kolejna alternatywna historia Polski*

CZYLI W IMIĘ OJCA I SYNA, I DUCHA ŚWIĘTEGO

Wszystko było jakoś podejrzanie znajome, mimo że inna półkula: lotnisko, wiadomo, globalizacja, taryfiarze pod lotniskiem korzystający z faktu, że jest poza sezonem, prawie nikogo nie ma, prawie żadna komunikacja zbiorowa nie jeździ, więc można dyktować ceny, a ceny, wiadomo, były też znajome.

Albo bankomaty, które na dzień dobry proponowały wypłacenie jakiejś monstrialnej sumy pieniędzy, a mniejsze sumy pojawiały się dopiero potem, na drugiej, albo i trzeciej (plus reklamy) stronie na ekranie. Albo kantory z tak przegiętym kursem walut, że gdyby był prawdziwy, Dominikana musiałaby być finansowym żelbetem, nie do ruszenia przez kryzysy, a w lokalnym peso w Europie by brano kredyty.

Dominikana poza sezonem. Prawie bez turystów, a więc i z tą całą wsią potiomkinowską pod tytułem „szczęśliwe Karaiby” częściowo tylko rozłożoną. Dominikana obnażona, bez karnawałowego stroju, bez kolorowych piór na głowie, siedząca ciężko na kanapie pod wentylatorem i pijąca piwo presidente, starająca się przy tym nie patrzeć na rozpiardolone oknem. I tylko jakiś samotny chłopaczek na lotnisku, który proponował kobietom swoje usługi jako „companion”, pokazując rękami, jak wielkiego ma, choć w połączeniu z jego smutną niepewnością wyglądało to tak, jakby się chwalił złowioną rybą.

No, ale kasę się udało wypłacić, w końcu coś przyjechało, busik jakiś, zazgrzytały drzwi, właśnie wtedy, gdy zaczynaliśmy już czuć, że za chwilę pomrzemy pod tym niebem rozpalonym i żółtym, wyglądającym tak, jakbyśmy byli gdzieś wewnątrz atmosfery Słońca, w tym powietrzu, którym się nie dało oddychać, i weszliśmy do środka. A tam z kolei klimatyzacja zionęła śmiercią z wyziębienia.

No i jechaliśmy tak z tego lotniska, wczasowicze pozasezonowi, bo w sezonie jednak drogo. My, jacyś Rosjanie stąd i zowąd, gówniarze z plastikowymi, kolorowymi walizkami na kółkach, jacyś biedni Niemcy o wyglądzie ryżowych szczotek z wąsami i platyną, którzy przez cały czas macali się po miejscach w których ukryli pieniądze, na wypadek, gdyby potencjalni złodzieje nie wiedzieli, gdzie szukać. Grupa Czechów, którzy wyglądali trochę jak ci Niemcy, ale bardziej ze zwrotem w stronę: jak sandał, to skórzany, a jak platyna, to ondulowana. I tak dalej. I jakaś pani z Polski, która wyglądała jak nauczycielka albo urzędniczka w średnim wieku, która wiozła sobie na wakacje młodego chłopaka o dłoniach, z których nie do końca zeszła jeszcze biała farba emulsyjna. Chłopak wyglądał na speszzonego, i chyba nie czuł się tak, jak zakładał, że się będzie czuł w tych tropikach.

No i jechaliśmy w zimnie, a za oknem — Karaiby.

\*

Wyglądało to tak, że cały właściwie obszar przybrzeżny, który można było zagospodarować pod wypas turystów — został podzielony na coś, co wyglądało jak niepodległe państewko. Wielkie tereny otoczone były murami, wysokimi jak ten w Berlinie albo ten, który oddziela Izrael od Palestyny. Zza murów sterczały palmy. Czasem widać było również flagi. Flagi należały do sieci hotelowych, które zarządzały tymi państewkami, to znaczy te powiewały z najwyższych masztów. Pozostałe symbolizowały najbardziej atrakcyjne i prestiżowe kraje świata: Stany, Niemcy, Wielką Brytanię, takie rzeczy. I Rosję, bo jeśli chodzi o dystrybucję prestiżu, to udało jej się podjąć odpowiednie działania mające na celu połączenie w głowach świata słów „Rosjanin” i „bogactwo”, nawet jeśli dystrybucja

Podróż, Teatr, Handel,  
Smutek

Podróż

Kolonializm, Bogactwo

wspomnianego bogactwa w ramach samej Rosji wyglądała nieco inaczej, niż ta dystrybucja prestiżu. Co nie zmienia jednak faktu, że udało się jej wcisnąć na maszty takich właśnie hotelarskich minirepublik, jak te, pomiędzy murami których jechaliśmy.

Cała komunikacja publiczna odbywała się pomiędzy tymi państwami-resortami. Wszystkie te moto-taxi, polegające na tym, że pasażer siedzi na drugiego na motocyklu, amerykańskie i japońskie auta, od trupów po wypasione pick-upy. I wszystko to, co pomiędzy, a co nie jest zazwyczaj brane pod uwagę przy opisywaniu ciągów komunikacyjnych w tropikalnych krajach, czyli pomarańczowy, całkiem uroczy kurz, swąd benzyny, drżące powietrze, ryk i szum, próby rozpędzenia się, co w drogowym chaosie nie jest zbyt proste, i jakiś nieokreślony niepokój, który nad tym wszystkim wisiał, ale nigdy nie wiedziałem, czy jest to niepokój odczuwany wyłącznie przeze mnie z powodu jakichś psychologicznych niedomagań, czy inni też są w stanie go odczuć.

Poza ciągami komunikacyjnymi w strefach poza murami istniała również Dominikana właściwa. Czyli dość chaotyczna sieć uliczek, im biedniejszych, tym węższych, a im węższych, tym bardziej chaotycznych. Od bogatych willi po faweloidy kryte blachą falistą, małe domki, przed którymi smażono banany, kielbasę, ryby i kurczaki, które wyglądały jak schowki na motocykle.

Busiki zatrzymywały się przy bramach tych ogrodzonych murami resortów jak przed murami zamków i pasażerowie wysiadali przy odpowiednich krainach: Niemcy pod państwkiem o nazwie kojarzącej się z miłym wypoczynkiem i ukojeniem przy szumie morza i palm, Rosjanie — pod czymś, co w nazwie miało wesoły plusk i udar słoneczny. Czesi chcieli wsiąść tam, gdzie Niemcy, ale z jakiegoś powodu przegapili przystanek i musieli czekać, aż kierowca zrobi kolejne okrążenie.

My nie wysiedliśmy przy żadnym resorcie. Nasz zamek był malutki, zamczątka właściwie: kilkadziesiąt pokoiów w trybie „euroremont w byłym ZSRR”, bez własnej plaży, ale za to niedaleko od publicznej. Trzeba było tylko przebiec betonowe pieklątka, po którym darły auta, nie skrećić sobie karku, przechodząc po błotnistej ścieżynce za budami z pamiątkami dla takich frajerów, jak my wszyscy — i już. Oczywiście, zakładając, że człowiek o zdrowych zmysłach miałby ochotę chodzić na plażę w tym potwornym klimacie, gdzie od słońca dostaje się gorączki. W każdym razie ja nie zamierzałem i na plażę planowałem chodzić wyłącznie w nocy.

Najważniejsze, w każdym razie, w naszym hotelu było: basen z ulokowanym obok niego barem krytym, tradycyjnie, w karaibsko-turystycznym stylu, strzechą. A za barem stał facet o smutnej twarzy, dziewczyna o twarzy wesołej albo rozkombinowany chłopaczek o raperskiej fryzurze. Chłopaczek mieszkał w fawelowatej okolicy zaraz za naszym hotelem. Była to piaszczysta uliczka, przy której stały budy kryte blachą i przed które powystawiano uliczne grille i plastikowe krzesła. Pod niedalekim bankiem siedział ochroniarz w siwym mundurze z shotgunem na kolanach. Takim, z jakich na filmach najlepiej rozjeżdżają głowę zombie.

\*

Na plażę nieliczni poza sezonem mieszkańcy naszego hotelu wychodzili dość wcześnie. Plaża publiczna chyba jednak nie bardzo im się podobała, bowiem szybko weszli w układy z ochroniarzami plaż prywatnych, którzy za kasę opychali na lewo kolorowe opaski na ręce uprawniające do opalania się na leżakach i terytorium hotelu takiego czy innego. I wieczorami przy barze naszego basenu pojawiali się wczasowicze obradowani znakiem przynależności do pastwisk za murami: niebieskimi, zielonymi, żółtymi i czerwonymi bransoletami z czegoś w rodzaju ceraty, których teoretycznie nie dało się zdjąć z nadgarstka bez rozcinania.

W dzień przy basenie, pod strzechą przesiadywał jowialny i samotny Anglik Jack. Wyglądał na emerytowanego urzędnika, choć w gruncie rzeczy mógł być byłym wojskowym. Próbował rozmawiać z każdym, ale mało kto, włącznie z barmanami, miał ochotę rozmawiać z Anglikiem Jackiem, który był miły, ale dość nużący i dość po angielsku wyższościowy. Siedział więc przy barze przykrytym szklaną taflą, jadł orzeszki i zamawiał kolejne dżiny z tonikiem.

Rozumiałem go, bo cień pod barem był jedynym miejscem poza własnym pokojem, które miało sens w czasie, gdy ta żółta, wściekła kurwa zalewała cały świat samą sobą, niby wrzącym olejem. Też tam więc siedziałem, czytając książki na czytniku i odpowiadając Anglikowi Jackowi półsłówkami na jego pierdolenie o Europie Wschodniej, na której znał się, jak mówił, jak nikt na świecie, bo kiedyś był z byłą żoną i byłą rodziną camperem w Chorwacji i zawadził o Vukovar, i sam, na własne oczy, widział tam ślady po kulach. I wie, do czego może doprowadzić nieodpowiedzialna polityka.

Czasem pojawiał się trzydziestokilkuletni, nieco jakby kotowaty Rosjanin Misza, który, powróciwszy z plaży, na którą był zaciągany przez swoją żonę, wyglądał zawsze tak, jakby wyjęto go właśnie z wrzasku. I tylko on pił z Anglikiem Jackiem, opowiadając mu o Władimirze Putinie i o tym, że Rosja wstaje z kolan i że tylko zachodnia propaganda każe wszystkim widzieć w tym coś diabolicznego. Anglik był łatwą zdobyczą: wszystkie teorie, które roztaczał przed nim Misza, budziły w nim przekonanie, że uczestniczy w czymś ukrytym przed oczami świata, czymś, co tylko wtajemniczeni i ci, którzy są, jak to się mówi, otwarci na nieszablony, wymykające się kalkom myślenie, mogą poznać. Gdy już się nawalili i gdy kotowaty Misza naprzekonywał Jacka wystarczająco, że świat wygląda dokładnie odwrotnie, niż Jack do tej pory myślał, że wygląda, a Jack się z tym skwapliwie zgodził, ładowali się do basenu, w którym kontynuowali odkrywanie świata. I z którego wychodzili wtedy wszyscy inni, ewidentnie bojąc się, że Misza i Jack będą do basenu sikać.

Wieczorami ogólnie rzeczywistość zaczynała mieć sens. Wtedy wychodziliśmy na plażę. Otwierałem piwo presidente, siadałem na piasku, zapalałem papierosa i patrzyłem na wschód, zupełnie nie mając ochoty na geopolityczne przemyślenia. Byłem w amerykańskiej strefie cywilizacyjnej, co było widać po samochodach, typie rejestracji, sposobie ogarniania ulic, domów, znaków i tak dalej, i nie miałem ochoty na Europę. Ale siedzenie na plaży i gapienie się w przestrzeń, szczerze mówiąc, ogólnie jest nudne, noc czy dzień, a piasek wchodzi w szczeliny czytnika e-booków, więc długo tam nie chciało mi się siedzieć i patrzeć, jak przy blasku księżyca moszczą sobie na plażach miejsce romantyczne parki, wpatrując się w korony palm zawieszane nad spokojnego oceanu taflą.

Jebać tafle.

Poszedłem do tego faweloidu. Była noc i w tej ciemności pomarańczowo było od żarówek wkręconych jako latarnie przed domami i światła padającego z okien pustaczanych chałupinek. Usiadłem na krześle przed czymś, co wyglądało na sklep albo restaurację, w każdym razie — w drzwiach ustawiono grill, na którym smażyły się banany z kielbasą, a obok wystawiono kilka butelek piwa presidente. Kobieta — młoda dziewczyna w chustce na głowie i o oczach tak zmęczonych, że wyglądała na sto lat, zapytała, czy wiem, że to nie jest miejsce dla turystów. I że dalej są lepsze restauracje. Powiedziałem, że wiem, i poprosiłem o piwo i kielbasę. Rozmawialiśmy. Ja hiszpańskim łamanym na angielsko, ona też. Po uliczce chodzili ludzie, przystawali, dodawali po dwa-trzy zdania. Niektórzy brali piwo i przysiadali się. To miejsce, mówili, było względnie nowe. Ten faweloid, w którym siedzieliśmy. Wcześniej mało kto tu mieszkał, choć mogło się to wydawać dziwne, bo przecież piękne plaże i w ogóle, ale kogo tu, kurwa, obchodzi piękne plaże, mówiła. Większość tych, którzy tu siedzą, ona też, przeniosło się tutaj, żeby pracować przy turystach. Raz przy kozach, mówiła, raz przy turystach, nie ma problemu. Ci, co pracują w hotelach właśnie tu, mówiła, wracają na noc.

I zaczęli wracać, faktycznie. Upijałem się powoli, bo się okazało, że jest też rum, i po jakimś czasie zaludniało się: przychodzili ci od nas, zarabiający stosunkowo najgorzej, bo nasz hotel był raczej tani i chyba nie uchodził za zbyt dobry, ci od plusku fali, od żaru słońca, spod różnych flag, i tak dalej. Wyjęli gandzię i zaczęli kręcić dzointy. Kupiłem kilka gramów od jednego z kolesiów i wróciłem na plażę. Skręciłem i paliłem, patrząc na parki, których gniazdka uwite w piasku wydawały się coraz głębsze. Księżyc wydawał się coraz większy.

— *Hola, amigo* — powiedział Pedro, gdy stanął przede mną. — A chcesz może trochę koks?

Pedro był kolegą tego, od którego kupowałem gandzię i od początku źle mu z oczu patrzyło. Wyglądał jak zawodowy morderca, ale bardziej taki ze sztyltem niż z siekierą. Kobięce miał oczy jakiegoś takie poza tym. Przeróżająco to wyglądało.

Byłem już spalony w kaszkę, więc musiałem wyglądać na nieprzekonanego, choć, oczywiście, nie miałem nic przeciwko kupieniu kokainy.

— Dla ciebie zrobię specjalną cenę — ściemniał bezczelnie Pedro. — Bo tam z nami siedziałeś, to jesteś trochę swój. Masz, spróbuj.

Wyjął z kieszeni worek, ale nie woreczek, tylko worek z białym proszkiem.

— *Pura coca* — powiedział. Pokiwałem głową. Jakżeby inaczej.

— Prosto z Kolumbii — powiedział, a księżyc oblewał go światłem, jakby go mlekiem oblewał. Jak w komiksach. Palmy, przyrzekam, nie ściemniam, odcinały się od księżycowej tarczy. Bo to pełnia w chuj była.

— Jasne — mówię.

— A poza tym — powiedział — mam na imię Tony. Tony Montana.

— Okej — pokiwałem głową. — A po ile?

— A to najpierw spróbuj — powiedział Tony Montana i zanurzył w woreczku róg karty kredytowej.

Wciągnąłem. No kurwa, pomyślałem. Faktycznie wyglądało na to, że *pura*, choć nie wiem, czy nawet stałem kiedykolwiek obok takiego konesera, co by bezbłędnie powiedział, czy *pura* czy nie *pura*. Ale zapachniało chrzanem, poczułem adrenalinę i dreszcz, lekkie niepokoje — po czym rozlewające się po ciele napięcie — ale i spokój, i opanowanie.

— I co — triumfował Tony Montana. — *Pura*, nie?

— No chyba *pura* — odpowiedziałem, zapalając papirusa, i udając, że się na tym znam jak nie byle kto. — To po ile?

— Ja z ciebie nie zedrę — powtórzył mi, bardzo po polsku, Tony Montana. — Nie tyle co od innych.

— Bardzo pięknie kłamiesz, Tony Montana — odparłem, wydmuchując dym. — Ale ja jestem z Polski. Ja wiem, jak to działa. To powiedz, ile.

Ale faktycznie nie było drogo.

I kolejnych kilka dni spędziliśmy, leżąc nad basenem taniego hoteliku, paląc od rana marihuanę, wciągając koks i popijając piwo presidente. Przeczytałem na e-booku całego Dukaja, jakiego miałem. Zdziwiająco dobrze wchodził przy tym połączeniu. Anglik Jack stał się wyznawcą Putina. Rosjanin Misza upijał się z żoną i śpiewali smutne piosenki. Wieczorami chodziliśmy na plażę, akurat wtedy, gdy schodzili z niej ludzie, którzy zarabiali na turystach, w tym Tony Montana. Znałem już chyba z połowę z nich, bo stałem się częstym gościem ziomków z faweloidu, bo nie oszczędzaliśmy stafu. Ci, których znałem, dawali nam spokój i nie podbijali z „kup pocztówkę”, „kup piwo”, „kup usługi seksualne”, „kup kokainę”, „kup marihuanę”. Ci, których nie znałem, podbijali, i połowa brała mnie za Rosjanina, a połowa za Niemca. Celowali idealnie, ale tego nie wiedzieli. Ja mówiłem, że jestem z Rurytanii i dawali mi spokój.

Tony Montana faktycznie, ku mojemu zdziwieniu sprzedawał mi taniej niż innym. Niewiele, ale jednak. Wbijaliśmy z presidentem, a oni — Tony razem z kumplami, z których jeden miał ksywę Las Vegas, a drugi — San Francisco, mierzyli w swojej małej kanciapce z Jezusem na ścianie Nazarejczykiem gramy, przesypywali zielone i białe na kupki, po czym wsypywali te kupki do kawałków pociętej reklamówki, zawiązywali gumką-recepturką albo zawiązywali na supeł, jak im się nie chciało pieprzyć z gumką. Drzwi mieli otwarte i wejść mógł w zasadzie każdy. I czasem wchodził. Witali się, wypijali piwo presidente i szli dalej. Albo wracali, bo nie bardzo było gdzie iść: na plaży było po pierwsze — gorąco, po drugie — siedzieli tam coraz bardziej czerwonoskórzy idioci, którzy lubili instalować sobie porażenie słoneczne. W drugą stronę — była dwupasmówka pełna smrodu, pyłu, pędu i hałasu. W prawo i w lewo — stały mury niepodległych państw hotelowych, na których terytorium wstąpić można było jedynie w ramach pakietu wakacyjnego dużych, światowych firm turystycznych. Więc wracali i narzekali.

Ani Tony Montana, ani Las Vegas, ani San Francisco nie sadzili głodnych kawałków, że mieli w życiu ambicje się uczyć, znaleźć dobrą pracę i założyć porządne rodziny z labradorem w kombiaku, ale musieli dilować na plaży stafem, bo tak się ułożyły stosunki społeczno-gospodarcze na Dominikanie, a nie inaczej. Nie sadzili, choć mogli w gruncie rzeczy, bo stosunki było widać gołym okiem, a co dopiero jak się zaczęło zgłębiać temat.

— My i tak jesteśmy zbyt czarni, żeby cokolwiek osiągnąć — opowiadał Tony Montana, gdy leżałem kiedyś u nich na śmierdzącym materacu, pod Jezusem, spalony jak za inkwizycji, i patrzyłem, jak San Francisco waży kokainę. — Bo u nas jest rasizm.

— Ale wszyscy są tutaj mniej lub bardziej czarni — zauważyłem, na co Tony Montana, San Francisco i Las Vegas się roześmiali.

— To może powiedzieć tylko takie blade gówno jak ty — orzekł Tony Montana. — My tutaj mamy wyrafinowane kategorie oceny. Im ktoś bardziej czarny, tym gorsze szanse na lepszą pozycję społeczną. Niektórzy bogaci się nawet poddają specjalnym operacjom wybielania.

— Jak Michael Jackson?

— Michael Jackson był chory! — Zauważył San Francisco. — Miał rzadką chorobę skóry.

— Za którą wiele zapłacił — dodał Las Vegas i wszyscy się roześmiali. Ja się rozkaszałem od dżointa.

— Najbardziej czarni są Haitańczycy — ciągnął Tony Montana. — I dlatego mają najbardziej przejebane.

— Nie tylko dlatego — pokręcił głową kategorycznie Las Vegas. — To barbarzyńcy. Oni są biedni. Oni chcą nas zdominować. Chcą nam zabrać pracę. Chcą nam zabrać pracę, bo są tanimi pracownikami. Ich jest dużo. Oni się rozmnażają szybko. Oni są czarni.

— Przecież ty nie masz pracy, Las Vegas — zaśmiał się San Francisco, na co Las Vegas mu gniewnie przypomniał, żeby nie pierdolił, bo sam jest przecież w pracy. I pracują razem.

Na ścianie, poza Jezusem, wisiała duża mapa Dominikany. Haiti, które leżało na tej samej wyspie, co Dominikana, wyglądało na zepchnięte do brzegu. Tak, jakby Dominikana i Haiti spały na tym samym łóżku, i Dominikana się rozpychała. Granica między nimi była prosta, wyglądała jak odrysowana od linijki, arbitralnie. I taka zresztą była.

— Haiti to jest inny świat — opowiadał Tony Montana. — Oni są naprawdę czarni. I naprawdę biedni. I tu przyjeżdżają do pracy. I nie znają nawet języka! Trzeba wybudować mur między nimi a nami. I naprawdę jest tam niebezpiecznie. Policja może cię zabić za byle co. Wszyscy mogą cię zabić. A w dodatku co chwila rozwala im ten chujowy kraj jakiś tajfun albo trzęsienie ziemi. Nie chciałbyś się znaleźć na Haiti.

— A ty byłeś? — Zapytałem.

— Oszalałeś? — Tony Montana zrobił takie oczy, jakbym go pytał, czy lubi siedzieć na potłuczonym szkle. — Ale... po co miałbym jechać do Haiti?

— Żeby wiedzieć, czy tam jest tak strasznie, jak mówisz.

— A to dlaczego do nas przyjeżdżają, jeśli nie jest? Przecież u nas też jest do dupy. No bo jeśli ktoś przyjeżdża do kraju, w którym wszyscy są czarni, a i tak panuje rasizm, i w którym turyści mieszkają w pałacach, a my w byle gównie, to jak tam musi być chujowo?

Byłem już spalony na działo, więc pod Chrystusem i tą mapą wygłosiłem jakiś bełkot o chrześcijańskiej miłości bliźniego, ale przerwał mi jeszcze jeden kolega i współpracownik Tony'ego Montany, Las Vegasa i San Franciska: El Infierno Cabron. Infierno Cabron przyprowadził ze sobą jakiegoś ślaniającego się ze strachu Amerykanina. Młodego chłopca o strukturze i wyglądzie surfera: blond włosy do policzków, jakaś biaława bródka, chudy, kąpielówki Billabong, japonki czegośtam, te z brazylijską flagą, jakiś ogólnochłopakki tatuaż na piersi: smok, czaszka czy coś w tym guście. I napis, cholera wie czemu, „WIENERSCHNITZEL”. Gotykiem. Nad E były dwie kropki, że niby umlaut. Jak nad O w Motorhead. Nie do końca się dziwiłem Amerykaninowi, bo Infierno Cabron wyglądał mniej więcej tak, jak brzmiała jego ksywa, i w sumie nawet podziwiałem go, że zaszedł tak daleko: z dilerem o twarzy mordercy, prowadzony prosto w faweloid. Chyba naprawdę potrzebował tej kreski. Amerykanin stanął w drzwiach, zobaczył tę piramidę koksu na stole, ten worek marihuany — zbladł jeszcze bardziej, bo wychowany jednak był na produkcjach filmowych typu *Narcos* i *Scarface* — i wy dawszy z siebie jakiś przerażony kwik, wyrwał nagle w długą. Tylko klapki klapały.

Chłopaki wpadli w histeryczny rechot.

— Ach ci *gringos*, och ci *gringos*! Na szczęście dał mi kasę wcześniej — śmiał się Infierno Cabron, pokazując banknoty. — Powiedziałem, że nie mam wydać, ale mogę

Kolonializm, Obcy, Ciało,  
Bieda

dać mu więcej towaru, tylko musi pójść ze mną na chatę. Widocznie już nie chce. Ach ci *gringos!*

— Ja też jestem *gringo* — powiedziałem, nie bardzo wiem czemu, być może dlatego, że byłem zjarany, a może dlatego, że odezwała się we mnie jakaś jednak *solidaridad* z Amerykaninem. Ale właściwie jaka? Czy mnie, wschodniemu Europejczykowi, było bliżej do kultury anglosaskiej niż do latynoskiej? Katolickiej, Boże bądź miłościw, peryferyjnej, Wallersteinie bądź miłościw, emocjonalnej, wszyscy wujowie i ciotki bądźcie miłościwi i miłościwe? Oczywiście, że nie, ale jednak tak, bo było mi do niej bliżej jako do kultury wiodącej. Naczelnej kultury globalnej. I stąd instynktowny odruch solidarności względem Amerykanina, jako do przedstawiciela tejże kultury. Tak, to była *solidaridad* wynikająca ze wspólnego oglądania *Narcos* i *Scarface*.

— Ty też jesteś *gringo* — odpowiedział mi Tony Montana, patrząc na mnie tymi kobiecymi, strasznymi oczami — ale taki udomowiony. *Gringo domesticado*.

I tak się życie toczyło poza tym sezonem, na tej Dominikanie.

W końcu nadszedł czas odjazdu, bo chcieliśmy zobaczyć więcej Dominikany. Chłopaki wyprawili nas godnie: dostaliśmy worek marihuany po cenach promocyjnych i tylko trochę mniejszy worek kokainy. Razem z serdeczną przestrogą, żebyśmy unikali policji, bo to się może skończyć źle.

\*

Unikaliśmy. Nie zawsze się udawało, ale unikaliśmy. Miasteczka na Dominikanie były małe, w środku zawsze był skwerek, i w gruncie rzeczy przypominały miasteczka w dawnej Kongresówce. Albo w ogóle we wschodniej Europie. Wokół wielkiego skwerku stały zawsze ni to niziutkie kamieniczki, ni to jednorodzinne domy i to wyglądało naprawdę jak tropikalne Mazowsze albo Kielecczyzna. Jakieś Kozienice, takie rzeczy. Tylko światło było inne, i tak naprawdę to robiło klimat. Palmy zamiast wierzb płaczących, ale poza tym — w zasadzie to samo.

Nawet starsi ludzie przypominali tych z byłej Kongresówki. Koszuliny, jakieś stare spodnie, sandały. Konięcpol latem. Albo Włoszczowa. Tylko że byli czarni. Gówniarze w sumie też: mieszanina butności i niepewności, trochę wożenia się, trochę fantazji. Tylko czarni. Na wsiach babcie nosiły na głowach chustki i coś w rodzaju kwiecistych podomek, które nosiło się, i nadal zresztą nosi, w Polsce na wsi. Tylko, że były czarne, co w końcu nie miało żadnego znaczenia. Nawet do tego samego papieża się modliły. I też był wszędzie. Jeden, drugi i trzeci. I kościoły były nawet podobne, te nowe. Te stare w sumie też, jakby tak zmrużyć oczy. I księża się podobnie wozili. A nawet jeszcze bardziej. I elity były do tych księży tak samo czolobitnie nastawione. Albo nawet bardziej. I też się miały za bardzo europejskie. W ogóle Dominikana wyglądała jak tropikalna Polska, tylko taka, w której nie było komunizmu. Jedyne tory kolejowe na wyspie zbudowano za kolonializmu po to, żeby łatwiej wywozić do portów trzcinę cukrową. Gdy kolonializm padł, tory zarosły i nikt ich nie używał, choć można było użyć ich do tak karkołomnego celu, jak na przykład zorganizowanie transportu publicznego. Kurwa, nawet metro w stolicy wyglądało jak warszawskie. No i było brzydko, taką polską brzydotą. Karaiby są ładne, owszem, jak się patrzy z góry na jakąś dżunglę, albo w tych niepodległych państwach-miastach hotelowych. Ale poza tym naprawdę wyglądało to jak Polska — chaos nałożony na tę podstawową strukturę małych miasteczek. I czasem pojawiali się Haitańczycy. Przemykali ciemnoczarnymi grupkami gdzieś pod płotami albo pod murem. Cisi, wystraszeni.

— Barbarzyńcy — syczeli ludzie. — Mur trzeba postawić.

W Santiago de los Caballeros, które wyglądało jak Jędrzejów pośrodku dżungli typu „Indiana Jones i przygody w dżungli”, tylko że bez blokowisk, bo w tym wariacie alternatywnej historii Polski nie tylko Polska leżała na Karaibach, ale i komunizmu w niej nie było, wisiał wyborczy billboard faceta, który zapowiadał ni mniej, ni więcej, tylko budowę tego muru. Był czarny, ale nie aż tak czarny, jak mógłby być, gdyby się inaczej potoczyło, tak uznawał najwyraźniej. Pod kościołem ludzie śpiewali. Trzeba było być cicho. Książdz wyglądał jak swoja własna mumia. Albo bizantyński bazyleus w pozie majestatycznej.

A potem pojechaliśmy do Boca Chica.

Polska, Obraz świata, Polak

Książdz

\*

Właścicielem hostelu był Amerykanin z hakiem zamiast lewej ręki. Jak Kapitan Hak. To była kamieniczka na brzegu morza, i było naprawdę miło. Amerykanin, który swoją pozycję społeczną zawdzięczał wyłącznie temu, że był Amerykaninem, wzenił się w rodzinę z lokalnej socjety. Siedzieliśmy przy stoliku na tarasie i patrzyliśmy na morze, za którym była Ameryka Południowa, a nie Szwecja. Czy choćby Włochy albo Turcja.

Miasto było zapedofilone. Ale tak dosłownie. Zaseksoturystowane. Białych, piegowatych facetów w okolicach pięćdziesiątki nie widziałem nigdy w takich ilościach. Tworzyli wręcz stada. Byli dominującą grupą społeczną. Dzwony były, wielcy lokalnego świata się wybielali w imię Pańskie, księża szeptali politykom do uszu, jak moralnie prowadzić kraj, a hordy niedoruchanych białych przedemerytów polowały na ulicach Boca Chica na seks z nastoletnimi obywatelami Republiki Dominikany i cała lokalna struktura była zorganizowana tak, by im to umożliwić. Pełno hotelików, pojawiała się opcja na godziny. Zaciszne knajpki, gdzie można i loda pod stołem strzelić. Czemu nie. Pod stołem Bóg słabo widzi, w końcu patrzy z góry.

Aż się dziwiłem, że lokalne chłopaki tych białych regularnie nie piorą. Wiedziałem, oczywiście, że policja, która stoi na straży odwiecznego porządku, w którym pan się bieli, ksiądz się mądrością dzieli, a gringo rucha nastolatki, by pewnie nie była przychylna oficjalnie takiemu procederowi, ale coś mi się wydawało, że nieoficjalnie by nie była jakoś wyrwana do szukania sprawców. Dziwiłem się, bo mi chyba już ta alternatywna, tropikalna polskość mocno weszła.

No i zapytałem przy stoliku. Ale córki Amerykanina z hakiem, wychowane na Dominikanie, w socjecie, nie wiedziały, dlaczego tak się dzieje. Z prostej przyczyny:

— Ale my nie wiemy, co myśli plebs — odpowiedziała jedna z nich, zdziwiona pytaniem. — Bo my się z nim nie zadajemy.

\*

W dzień można było tylko leżeć w cieniu, dopalać resztki tego, co kupiliśmy od Tony'ego Montany i kolegów, i powoli rozglądać się za nowym kolegą z tematem. Wieczorami natomiast można było pójść na miasto i patrzeć na ten festiwal viagry. Było parno, zjadłem ryż z owocami morza w jakiejś garkuchni za rządkiem wakacyjnych sklepików, bo ogólnie to na tej Dominikanie nie było tanio, pooglądałem rozpoczęty i niedokończony pałac jakiegoś dominikańskiego możnego, któremu chyba się zdarzyło zbankrutować, i wyszedłem na poszukiwanie przysgod.

Zęby: naturalne, jak u brontozaurów, i sztuczne, białe i błyszczące. Piegi na starczej, opalanej skórze. I gładkie dłonie ciemnoskórych nastolatków. Drinki w plastikowych szklaneczkach. I napiwki szczodre jak Bolesław.

Zawsze mnie trochę bawi, jak turysta się napina, że siedzi z lokalsami i pije z lokalsami, bo choć ma niby rację, to jest to również jakaś forma pozy, ale chodząc po tej ulicy pełnej knajp, upału i dyszącego seksu, szukałem czegoś, gdzie nie będzie siedział mój europejski, niby-zachodni gatunek. Zresztą, czy mój? Czy ten gatunek się do mnie w ogóle przyznawał? Byłem niby biały, ale równie dobrze mógłbym być białym Maryjczykiem z pogańskiej Marii El i na jedno by wychodziło.

No i znalazłem w końcu. To nie była knajpa, tylko sklep. Lokalne ziomki nie siedziały w knajpie, ale pod sklepem. Ale do sklepu przymontowano parapet, przy parapecie ustawiono taborety, i w ten sposób powstał bar, i w tym barze piłem cuba libre, i mimo że na początku ziomki patrzyli na mnie wrogo, to szybko jakoś się zakręciłem, z tym coś pogadałem, z tamtą coś się pośmiałem i ani się obejrzałem, jak siedziałem już w towarzystwie Santiago, Marii i Dolores.

Santiago miał taką specyfikę, że był karłem i alfonsem. Był czarny prawie jak Haitińczyk, ale, mówił, i tak jest karłem, więc to, czy jest mniej lub bardziej czarny, nie ma specjalnego znaczenia. Maria była prawie biała, Dolores — coś pomiędzy, ale, jak mówiły, są kurwami, więc to również nie ma znaczenia. Byłem już pijany tym rumem,

Seks, Kolonializm, Władza,  
Pozycja społeczna



a w dodatku zostało jeszcze trochę kresek i dzointów od Tony'ego Montany, więc poświęciliśmy się intensywnemu wprowadzaniu się w stan intoksykacji, a ja pytałem uparcie Diego o to, dlaczego lokalne chłopaki nie rozpieprzą w cholere tę ulicę pełną postkolonialnego spermiarstwa, na co Diego przypomniał mi łagodnie, że przecież jest alfonsem, a zarówno Maria, jak Dolores czerpią zyski z rzeczzonego spermiarstwa.

Kupowałem kolejne kolejki, aż zorientowałem się, że siedzimy już nie w niedoknajpie lokalsów, a w normalnej, formalnej knajpie o nazwie mającej w nazwie coś z czekoladą, i że wokół nas siedzą sami biali faceci w okolicach pięćdziesiątki, i że ja w sumie też jestem białym facetem, może nie w okolicach pięćdziesiątki, no ale czterdziestki to na pewno, i w pewnym momencie Diego gdzieś znikł, a jeszcze przed chwilą mi opowiadał, że tak naprawdę to zawsze marzył o tym, by być architektem, i że zostałem tylko z Marią i Dolores, które patrzyły na mnie z dziwnymi uśmiechami, a później już tylko z Dolores, a później siedziałem już sam, a z portfela zniknęły mi wszystkie pesos.

A potem był już ranek, i byłem w ogóle sam. A potem pojawili się Haitańczycy i zaczęli sprzątać porozbijane szkło i zamiatać ulice.

I tak to się skończyło,

Amen.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szczerek-kolejna-alternatywna-historia-polski/>

Tekst opracowany na podstawie: Ziemowit Szczerek, Kolejna alternatywna historia Polski, Fundacja Nowoczesna Polska 2021.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-6116-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.